



Ułotki rozwieszane nocą przez Günthera Safflera przyciągnęły 30 września 1989 r. na Holzmarkt w Arnstadt kilkaset osób, demonstrujących przeciwko „despotycznej polityce komunistycznej partii SED”. Dziś, choć nie kryje rozczarowania ostatnimi trzydziestoma laty, podkreśla, że gdyby czas się cofnął do epoki NRD, zrobiłby to samo

BUNTOWNICY Z ENERDOWSKIEJ PROWINCJI

JERZY HASZCZYŃSKI

„Cóż to za życie? Tu, gdzie wszystko wydaje się stracone” – prosty wiersz nieznanego autora, wywieszony na murach, zmobilizował przed trzydziestu laty mieszkańców Arnstadt do protestów przeciw komunistycznej władzy. Bohaterowie tamtych wydarzeń mówią, co dzisiaj myślą o zjednoczonych Niemczech.

Arnstadt, 30-tysięczna miejscowość niedaleko Erfurtu w Turyngii, zbuntowało się wcześniej niż wiele dużych miast w NRD. Bohaterów małej rewolucji w Arnstadt odwiedziłem dziesięć i dwadzieścia lat po wydarzeniach z jesieni 1989 roku. W 2019 roku pojawiłem się tam po raz trzeci.

Ten, który zrobił największą karierę polityczną i był przez trzy kadencje burmistrzem, nie dał się już namówić na rozmowę. Stwierdził przez telefon, że nie ma nic do opowiedzenia. Może obawia się pytań o mocno prawicowe sympatie, które wykazywał, zanim stało się to masowe w dawnej NRD (teraz Alternatywa dla Niemiec ma na wschodzie poparcie jednej czwartej wyborców). Główny dysydent z tamtych czasów, teraz chory na raka, krytykuje sposób, w jaki potraktowano wschodnich Niemców po zjednoczeniu: „nie dbano o nich, lecz o interes zachodnich koncernów”. Podobnie mówił przed dwudziestu i dziesięciu laty.

Nadal zachwycona przemianami jest pani doktor, prześladowana przez enerdowską bezpiekę, która w wieku 85 lat wciąż pracuje, prawie codziennie przyjmuje w swoim prywatnym gabinecie, a czasem ma dyżury w szpitalu.

→ STRONA 16

Ten, który swoim wierszem porwał setki mieszkańców do buntu, wciąż nie ukrywa frustracji. Nie jest już bezrobotny jak przed dekadą, prowadzi miejscową organizację charytatywną pomagającą przede wszystkim nowym imigrantom. Uważa, że jego słowa z ulotek rozwieszanych przed trzydziestu laty stały się znowu aktualne. A brzmiały tak: „Cóż to za życie?/ Tu, gdzie prawda staje się kłamstwem/ gdzie fałsz berło dzierży/ Cóż to za życie?/ gdzie wolność martwa na świat przychodzi?/ gdzie wszystko wydaje się stracone/ Cóż to za życie?/ gdzie starcy rządzą/ gdzie ludzie na granicach zdychają”.

1.

Był koniec września 1989 roku, ale nikt nie mógł przewidzieć, że historia NRD dobiega końca. Kilka tygodni później padł mur w Berlinie, po roku nie było już niemieckiego państwa, któremu z diabelskim poczuciem humoru wpisano w nazwę demokrację.

Funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa Stasi rozściewiczili ulotki, które w nocy pojawiły się na murach. Autor wzywał „wszystkich obywateli Arnstadt” do udziału w pokojowej demonstracji przeciw „despotycznej polityce komunistycznej partii SED”. Nie były to kopie, każdą napisano oddzielnie. Oprócz apelu o udział w wiecu na Holzmarkt (Rynku Drzewnym) na ulotkach był też wiersz.

Ulotki napisał na pożyczonej od kolegi maszynie Günther Sattler. 24-letni prosty chłopak, syn milicjanta, który szkolił się na ślusarza, kucharza i rzeźnika, a pracował jako palacz i zarabiał miesięcznie tyle, ile kosztowała nieźła kurtka. Dusił się w NRD, ale uważał, że musi tu żyć, a nie wyjeżdżać. Nie znalazł dysydentów, z kolegami z pracy nie dało się szczerze porozmawiać, co się myśli o władzach. Działal sam. Dlaczego zdecydował się na ulotki? Gdy się spotkaliśmy pierwszy raz, tłumaczył, że rozrzucali je przeciw rewolucjonistom, o tym uczył się na lekcjach o ruchu robotniczym. Samotnego Sattlera zastała przy nocnym stukaniu w maszynę jego dziewczyna, matka ich malutkiego synka. Zaczęła krzyczeć, że on nie może wypisywać takich tekstów, że nie może tak ryzykować. I wybiegła z domu, zostawiając mu klucze. Pomyślał wtedy, że w ten sposób jego świat zawalił się do końca. Nie czuł strachu, był gotów do rozpoczęcia swojej małej wojny z reżimem. Nie miał już nic do stracenia.

Mimo gorączkowych poszukiwań, mimo kontroli maszyn do pisania w całym mieście, mimo wzmożonej aktywności donosicieli - Stasi nie odnalazła autora ulotek. Nie znalazł go też nikt z ludzi, którzy na jego wezwanie przyszli 30 września 1989 roku na Holzmarkt. Niektórzy nie mieli pewności, czy to nie prowokacja służb, ale zdecydowali się zaprotestować. Sattler obserwował wiec z okna mieszkania swojego kolegi. Demonstrowało kilkuset ludzi, agenci Stasi szacowali, że od 150 do 300, a jeden z uczestników zanotował w pamiętniku, że 700.

2.

Günther Sattler jest coraz bardziej zgorzkniały. Nie widzi powodu do świętowania okrągłej rocznicy protestu w Arnstadt ani obalenia muru. - Zawsze podkreślałem, że gdyby czas się cofnął do epoki NRD, zrobiłbym to samo. To płynęło z głębi serca, przechodziłem proces uświadamiania sobie, kim jestem. Niestety, wiersz mógłbym napisać jeszcze raz po pięciu latach, dziesięciu, dwudziestu i teraz po trzydziestu też. Robi się coraz gorzej i to jest problem - mówi dziś, gdy znowu spotykamy się w jego domu w miasteczku Plaue, położonym dziesięć kilometrów na południe od Arnstadt. Nie zmienił poglądów, wygląda podobnie, szczupły, zadziorne spojrzenie, tylko trochę posiwił i twarz pokryła się zmarszczkami. Partnerka, która się przerażała, gdy pisał na maszynie „Cóż to za życie”, już dawno odeszła. „I dzięki Bogu” - mówi.

Syn ma 33 lata, nie mieszka już w dawnej NRD, lecz w graniczącej z Turynią Bawarii. W rodzinnej miejscowości jego żony, z którą prowadzi prężną firmę transportową. - Ale wesele odbyło się u mnie - śmieje się Günther Sattler.

Nie jest to zwykły dom. To zabudowania gospodarskie z osiemnastego wieku, z pruskiego muru w stylu charakterystycznym dla Turynii, z dziedzińcem wyglądającym jak połączenie ogrodu ze skansenem, pełnym

starych naczyń, zegarów, narzędzi rolniczych, szyldów i reklam z dawnych czasów. Odnowił go, bo marzyło mu się organizowanie spotkań, dyskusji. Z tym jest w czasach konsumpcjonizmu, którego tak nie lubi, ciężko. Choć, podkreśla, zaprasza tu ludzi, którym tak jak jemu zależy na bezinteresownym kontakcie. Miejsce nazywa się Birkenhof, brzozowy dwór, jest zabytkiem, który jako atrakcję turystyczną zachwalają władze liczącego dwa tysiące mieszkańców miasteczka.

Coraz gorzej jego zdaniem robi się nie w całych Niemczech, lecz głównie na wschodzie, w dawnej NRD: - Szybko przeskoczyliśmy z socjalizmu do kapitalizmu. Nasila się rozwarstwienie między bogatymi a biednymi, do tego dochodzą uchodźcy, którzy nas zaskoczyli. Partie głównego nurtu są nie do odróżnienia. I nagle pojawia się Alternatywa dla Niemiec, za którą ludzie idą jak szczyry za szczurołapem z Hameln. Może i ma w programie sporo słusznych postulatów, nie wszyscy w niej są skrajnymi pravicowcami, ale jakoś tak przypomina klimatem Trzecią Rzeszę.

AfD wzbudza w nim niepokój, strachu jeszcze nie. On sam jest zdecydowanie lewicowy, zwłaszcza w sprawach społecznych. Nie wiąże się jednak z żadnym lewicowym ugrupowaniem. - Oni tam mówią do siebie „towarzyszu”, za bardzo kojarzy mi się to z NRD.

3.

Dwadzieścia lat temu, gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, Günther Sattler kończył swoją przygodę z prywatnym biznesem, upadał ostatni z sieci jego barów przekąskowych - przy dworcu w Arnstadt. Potem był bankrutem, bezrobotnym, i chorował. Teraz jest szefem Arnstädter Tafel. Każdy w Niemczech wie, co to Tafel, są ich setki w całym kraju, to instytucje, które wspierają biednych artykułami spożywczymi, a czasem i meblami czy naczyniami (tak jest w Arnstadt). W innych krajach zwie się je zazwyczaj bankami żywności, niemiecka nazwa nawiązuje do stołu biesiadnego.

Siedziba Arnstädter Tafel jest w starej kamienicy przy stromej uliczce. W środy i w piątki o czternastej pojawiają się podopieczni z dużymi torbami, często na kółkach. Zabiorą w nich żywność, która albo już się przeterminowała, albo niedługo upłynie termin jej



CÓŻ TO ZA ŻYCIE? TU, GDZIE PRAWDA STAJE SIĘ KŁAMSTWEM. GDZIE FAŁSZ BERŁO DZIERŻY. CÓŻ TO ZA ŻYCIE? GDZIE WOLNOŚĆ MARTWA NA ŚWIAT PRZYCHODZI. GDZIE WSZYSTKO WYDAJE SIĘ STRACONE. CÓŻ TO ZA ŻYCIE? GDZIE STARCZY RZĄDZĄ. GDZIE LUDZIE NA GRANICACH ZDYCHAJĄ

ważności. Płacą za to trzy euro tygodniowo, a wpłaty przeznaczone są na organizowanie dostaw. Zanim ruszą do pomieszczenia, w którym są skrzynki pełne warzyw, owoców, napojów mlecznych czy jajek, czekają na swoją kolej, siedząc przy stołach. Rozmowy się nie kleją, liczniejsi obcokrajowcy zazwyczaj nie znają niemieckiego, a to byłby najlepszy sposób komunikacji zarówno z Niemcami, jak i innymi cudzoziemcami. Konwersuje kilkanaście kobiet w kolorowych chustkach na głowach, wszystkie są z Afganistanu.

Przy jednym stole siedzą Syryjczyk, Afgańczyk, Ghańczyk i syryjski Kurd. Pierwszy zna angielski. Ma 47 lat. Uciekł z Syrii w 2015 roku, najpierw do Francji. Tam mu się nie powiodło. W Arnstadt uczy się niemieckiego i robi kurs kucharski, nie ma pracy, żyje wraz z rodziną z tego, co zapewnią mu Niemcy, państwo i osoby prywatne. W Dajr az-Zaur, 200-tysięcznym mieście na wschodzie Syrii, które przez dwa lata było oblegane i częściowo opanowane przez dżihadystów z tzw. Państwa Islamskiego, też był kucharzem. - Nie wrócę tam. Chcę założyć dobrą restaurację, ale w dużym niemieckim mieście, nie w Arnstadt, bo by nie było

wystarczająco dużo gości, tu się wielu żywi w Tafel - ironizuje. Przychodzi do Tafel przede wszystkim po owoce. - Dla dzieci, mam ich trójkę, są najważniejsze, one szybko opanowują w szkole niemiecki. Będą miały normalne życie, moje pokolenie jest stracone, ja zawsze będę przybyłem z arabskiego kraju.

Do ojczyzny nie zamierza również wrócić 34-letni Afgańczyk, który także trafił do Niemiec wraz z wielką falą imigrantów przed czterema laty. On w przeciwieństwie do Syryjczyka pracuje i nieźle mówi po niemiecku. - Gdy nauczę się jeszcze lepiej, a chodzę na kursy, to dostanę lepszy etat w miejscowym szpitalu - podkreśla. Teraz wykonuje tam najprostsze prace. Jest przedstawicielem społeczności Hazarów, wyznających szyicką odmianę islamu i często prześladowanych przez dominujących w Afganistanie Pasztunów, którzy są zazwyczaj sunnitami.

- Tygodniowo pomagamy mniej więcej 700 osobom prawie dwie trzecie z nich to obcokrajowcy czy nowi obywatele. Są prawdziwi uchodźcy, których z domów wyгнаła wojna, i nieprawdziwi, czyli imigranci ekonomiczni, tych jest zresztą większość. W tym przybylsze z krajów Unii Europejskiej, Romowie z Bułgarii i Rumunii. W sumie przedstawiciele 19 narodowości. Zarejestrowanych w naszym Tafel jest wiele starszych Niemek, skromnych kobiet, które czują się skrepowane, przyjmując pomoc. Bardzo mało zarabiały w NRD, pracowały jako fryzjerki czy sprzedawczynie, a po upadku muru berlińskiego często traciły pracę i tak już pozostało. Dostają teraz emeryturę 500-600 euro. Gdy widzę tę panią z tak niskim uposażeniem i jednocześnie imigrantów, którzy dotarli tu bez żadnej kontroli, czy coś posiadają czy nie, i oni dostają w Niemczech tyle samo, to czuję się rozdarty. Kanclerz Merkel powiedziała w związku z wielkim napływem imigrantów „Damy radę”, ale większość raczej nie daje sobie z tym problemem rady - mówi Sattler.

4.

W 1989 roku na czele demonstracji na Holzmarkt, do której wezwały ulotki Sattlera, stał Arnd Effenberger. Zakładał w Arnstadt oddział Nowego Forum, pierwszej dużej organizacji opozycyjnej w upadającej NRD. Uważają się z żoną za ludzi lewicy, głosują albo na socjaldemokratów z SPD, albo na Zielonych.

- W naszym mieście jest dużo obcokrajowców, czasem ludzie czują lęk. Byliśmy na spacerze w pobliskim lesie, miałem skuter elektryczny i wysunąłem się do przodu, nagle pojawiają się czterech mężczyzn, właściwie miło wyglądali - opowiada dziś 79-letni Effenberger.

- Czterech czarnych! - włącza się żona, Karin. - Zatrzymałem się, aż zniknęli, a Karin nadeszła i powiedziała, że się trochę boi.

- Gdybym tak sama trafiła na czterech czarnych młodych ludzi w lesie, no cóż, to nawet nie wiadomo, jak by zareagowali - dodaje żona.

Arnd Effenberger uważa, że sposób, w jaki główne media informują o incydentach wywoływanych przez imigrantów, prowadzi do tego, że normalny obywatel zaczyna prasę nazywać kłamliwą, rozpowszechniającą fake newsy: - A potem osuwa się w kierunku skrajnej prawicy.

Podjęcie małżeństwa dawnych dysydentów do tego, co się stało z Niemcami Wschodnimi trzy dekady po upadku muru, się nie zmieniło. Byli i są „raczej niezadowoleni”. Dziesięć lat temu wydawało mi się, że zaczęło im się lepiej wieść. Bo zmienili mieszkanie, przenieśli się do eleganckiego domu na Starym Mieście, tuż obok Holzmarkt. Kolejne dziesięć lat wcześniej byli bez pracy, mieszkali w bloku na osiedlu z czasów NRD, a ich energiczne meble kuchenne ukrywały się pod zachodnią drewnianą okleiną. Karin Effenberger mówiła wtedy, że bohaterowie rewolucji siedzą w domu. To się już nie zmieniło.

Arnd Effenberger - doktor matematyki - nie zrobił profesorskiej kariery. Zanim przeszedł na emeryturę, uczył parę godzin tygodniowo informatyki w szkole pedagogicznej. Mieszkanie zmienili tylko dlatego, że poprzednie się spaliło, dziecko sąsiada w bloku wywołało pożar. - Inaczej sobie wyobrażałem demokrację, nie tak, że wszystko jest na sprzedaż, że człowieka mierzy się tylko zasobnością kieszeni - mówił mi w 2009 roku Arnd Effenberger, a jego żona dodawała: - Na Zachodzie tak pewnie było i wcześniej, ale my o tym nie wiedzieliśmy. Jest jednak niewątpliwie lepiej niż w NRD.

Długo zachowywali urok dawnych dysydentów, brodaty Arnd wyglądał jak zbuntowany artysta z bloku wschodniego, w czasach NRD pisywał skecze do kabaretów, które zauroczyły piękną Karin. Teraz jest chory na raka płuc, przy nosie zwisa mu rurka, ciężko oddycha i mówi powoli, przechodząc czasami machinalnie na miejscowy dialekt. – Nadal są dwie kategorie ludzi, ci z Zachodu, lepsi, i ci ze Wschodu, gorsi. NRD została wcielona do Republiki Federalnej i całkowicie jej podporządkowana, to zachodnie powiernictwo decydowało, co sprywatyzować, co zaś zrównać z ziemią. Nie dla naszej korzyści, lecz w interesie koncernów. Efekt jest taki, że trzydziści największych przedsiębiorstw notowanych na frankfurckiej giełdzie ma siedziby na Zachodzie. Oczywiście gdy się spojrzy na wygląd wschodniemieckich miast, to można mówić o cudzie, tak wypiękniały, a wtedy były bliskie rozpadu – mówi.

– Ludzie nie zawsze są najszczęśliwsi, gdy sytuacja gospodarcza jest dobra – dodaje Arnd Effenberger. – Byliśmy z uczestnikami wydarzeń sprzed trzydziestu lat na spotkaniu w szkole. Powiedziałem, że w czasach NRD związki z ludźmi były silniejsze i serdeczniejsze. I wielu dawnych dysydentów potraktowało to jak objawienie: tak właśnie było! To nie znaczy, że NRD była lepsza niż dzisiejsze Niemcy. To była dyktatura. Poza urodzinami dzieci wydarzenia z jesieni 1989 roku były najważniejsze w moim życiu. Zbrodniczy reżim upadł.

dodatkową nazwą Bachstadt (Miasto Bacha). Jest tu też muzeum lalek. W informacji turystycznej dowiaduję się, że odwiedzający pytają też o wydarzenia sprzed trzydziestu lat. I oglądają niewielki pomnik z napisem „Cóż to za życie”, który postawiono na Holzmarkt.

Arnstadt ma teraz 27 tysięcy mieszkańców, kilka tysięcy mniej niż w ostatnim roku istnienia NRD, wielu wyjechało zaraz po upadku muru na Zachód. W ostatnich wyborach do rady miasta, w maju 2019 roku, trzy pierwsze miejsca zajęły partie prawicowe, zdobywając wspólnie 54 procent głosów. Wygrało lokalne stowarzyszenie Pro Arnstadt, tuż za nim jeszcze bardziej prawicowa i izolowana przez partie głównego nurtu Alternatywa dla Niemiec, a na trzecim CDU – prawica głównego nurtu.

Stowarzyszenie Pro Arnstadt założył jeden z bohaterów wydarzeń z 1989 roku Hans-Christian Köllmer, gdy CDU nie chciała go wystawić na burmistrza. Piastował to stanowisko przez trzy kadencje i, co podkreślają nawet jego przeciwnicy polityczni, wiele zrobił dla miasta, od renowacji starówki po przekonanie do inwestycji dużych koncernów. Przeciwników mu nie brakowało, bo zasłynął na cały kraj sympatiami do nacjonalistów i populistów, był pierwszym burmistrzem w Niemczech, który się z nimi obnosił. Był fanem Jörga Haidera, zmarłego przed jedenastu laty przywódcy skrajnej prawicy w Austrii. – Tak, byliśmy zaprzyjaźnieni – przyznał mi Köllmer w 2009 roku, teraz już nie chciał rozmawiać. – Haider odwiedził Arnstadt. Ja odwiedzałem go w Karyntii w jego rezydencji. To był bardzo sympatyczny człowiek. Lewica

wysoka, szczupła, białowłosa. Wciąż prowadzi prywatną praktykę lekarską na Starym Mieście, dwie minuty spacerem od Holzmarkt. Przyjmuje mnie w swoim gabinecie, na biurku leży stetoskop, ciśnieniomierz, sterta papierów i opakowania leków, nad nim wisi lampa w japońskim stylu z papierowym kulistym abażurem. Od rana miała wielu pacjentów, starszych Niemców i młodą Arabkę w czarnej chuście na głowie i w czarnej długiej szacie. Towarzyszył jej brodaty mąż. – Może ludzie są rozczarowani, bo myślą, że coś stracili, gdy kraj przyjął tylu cudzoziemców. Ja byłam za przyjęciem. Oni musieli uciekać. Mam pacjentów z Afganistanu, Syrii, Iraku, Libii. Nie mówią po niemiecku lub mówią bardzo słabo, zazwyczaj przychodzą z tłumaczami, też cudzoziemcami, którzy od dawna są w Niemczech. Mówię im: chodźcie na kursy, ucicie się. Integracja musi potrwać – podkreśla.

Johanna Voigt za każdym razem, gdy się widzieliśmy, zachwalała, jak rozwinęła się dawna NRD. W sklepach jest wszystko, można podróżować, ona dotarła nawet do Kanady, a w okolicy można pędzić po nowych autostadach. Poprawiło się nawet na rynku pracy. Dwadzieścia lat temu stopa bezrobocia wynosiła tu 19 proc. Teraz poniżej 5 proc. Syn pani doktor nie może znaleźć pracowników do zakładu handlującego częściami zamiennymi do samochodów. To rodzinna firma, była pierwszym w Arnstadt przedsiębiorstwem, które dawni właściciele odzyskali po upadku NRD. Nie odcina się od kraju, który nacjonalizował majątek, sprzedaje też części do samochodów osobowych, dostawczych i ciężarowych enerdownskiej produkcji – wartburgów, trabantów, roburów, barkasów.

– Najważniejsza jest wolność, to zysaliśmy – mówi Johanna Voigt, która w czasach NRD była inwigilowana przez służbę bezpieczeństwa. Szczególnym zainteresowaniem Stasi cieszyła się jej działalność w gminie ewangelickiej. Po latach doktor Voigt zainteresowała się tym, co zawierają jej teczeki. W pierwszej znalazła donosy sąsiada oficera milicji (po zjednoczeniu Niemiec zrobił karierę w policji). Zajmował się spisywaniem rejestracji samochodów, którymi przyjeżdżali do Johanny Voigt goście z Kościoła ewangelickiego na Zachodzie. Były tam też raporty współpracującej z nią przez lata pielęgniarki, której jako jedynej wybaczyła, bo życie ją ciężko dotknęło, została inwalidką.

Potem dostała kolejne dokumenty, w tym kopię swojej karty osobowej, w której przyznano jej numer 1 42 8060 0908. Pracownicy bezpieki wpisywali, czy dom obserwowanej osoby ma dodatkowe wyjścia albo czy dzwonek jest tylko przy drzwiach mieszkania, czy także przy wejściu do klatki schodowej.

Dopiero dziewiętnaście lat po upadku muru doczekała się odpowiedzi z urzędu Gaucka w sprawie dla niej szczególnie ważnej – odtajnienia nazwisk donosicieli. Tajnym współpracownikiem Stasi o kobiecym pseudonimie Marie był nobliwy szef ewangelickiej rady parafialnej. Jego ojciec zajmował podobne stanowisko przed wojną i nie dał się złamać narodowym socjalistom, nawet więcej – ratował niepełnosprawne dzieci przed zgładzeniem ich w ramach akcji likwidowania „życia niegodnego życia”. Syn zdecydował się na współpracę z komunistyczną służbą bezpieczeństwa.

Potwierdziły się też podejrzenia dr Voigt dotyczące jej szefa w przychodni. Posługiwał się, z niezrozumiałych dla niej przyczyn, ryblem pseudonimem Ukelei (ukleja). – Był ginekologiem. Słabym. Po zjednoczeniu wyjechał z Arnstadt na zawsze na Zachód – mówiła mi przed dekadą Johanna Voigt, którą w pracy szpiegował też kierowca karetki pogotowia posługujący się najprostszym pseudonimem Fahrer (kierowca właśnie). – Wszyscy, którzy donosili, nie dostrzegali potem swojej winy. Zapewniali, że chcieli dobrze – podsumowuje teraz 85-letnia internistka.

30 września 2019 roku w ratuszu na uroczystościach z okazji trzydziestolecia wydarzeń na Holzmarkt pojawili się ich bohaterowie, a także wielu młodych ludzi, którzy całe życie przeżyli w zjednoczonych Niemczech. Najdłużej spośród byłych dysydentów wytrzymała najstarsza doktor Johanna Voigt. Po zakończeniu powiedziała mi: Spotkamy się za kolejne dziesięć lat. I odjechała na rowerze do domu. © – Jerzy Haszczyński

27 października w Turynii, gdzie leży Arnstadt, odbywają się wybory do landtagu



Zdarzenia z 1989 r. przypomina pomnik z pierwszym wersem wiersza Günthera Safflera

5.

To trochę przerażające, że nawet lewicowcy w starszym wieku są tu niechętni przybyszom. Mówią, że to w większości imigranci ekonomiczni, a nie żadni uchodźcy uciekający spod gruzów zombardowanych domów. Może i tak, ale przecież miejscowi Niemcy chcieli się przed trzema dekadami wydostać z NRD na Zachód właśnie po to, by lepiej żyć, zarabiać w zachodnim markach – mówi mi emerytowana wykładowczyni uniwersytetu w pobliskiej Jenie, mieszkająca w Arnstadt. Prosiła o niepodawanie nazwiska, bo to bardzo niepopularny pogląd.

Na Starym Mieście cudzoziemcy są bardzo widoczni. Wieczorem na uliczkach wśród pięknie odnowionych kamienic słychać częściej egzotyczne języki niż niemiecki. Jest kilka barów z kebabami, sklepy z arabską żywnością, jeden prowadzi znający tylko podstawowe słowa po niemiecku Syryjczyk, któremu jednak dzielnie pomaga po zajęciach w szkole córka.

W weekendy pojawiają się niemieccy turyści. Arnstadt, które do końca pierwszej wojny światowej było największym miastem małego księstwa Schwarzburg-Sonderhausen, ma sporo atrakcji. Największe zainteresowanie turystów budzi Bachkirche. To w tym kościele w wieku osiemnastu lat rozpoczął swoją pierwszą pracę organista Jan Sebastian Bach. Jego pomnik jest atrakcją na rynku. Arnstadt posługuje się nawet

przesadza z oceną Haidera, czynią z niego diabła. Mamy demokrację, mamy wolność słowa. Nie możemy się cofać do czasów NRD i zabraniać ludziom głoszenia innych poglądów – mówił. Głosił wówczas pogląd, że to niedobrze, iż do władzy dopuszczono ludzi odpowiedzialnych za enerdownską dyktaturę.

Köllmer zrobił największą karierę ze wszystkich buntowników z Holzmarkt, choć jak złośliwie komentował jeden z jego znajomych, przyłączył się do nich i wstąpił do Nowego Forum, gdy nie było to już niebezpieczne. Wyróżniał się na tle innych byłych dysydentów, oni chodzili w dzinsach i kurtkach, on w dwurzędowym garniturze, w okularach w srebrnej oprawce. – W życiu trzeba się umieć zareklamować, dobrze sprzedać, czego nie umieją moi dawni, dziś sfrustrowani koledzy. Kariera nie ma nic wspólnego z przypadkiem. Ja nawet w NRD nieźle żyłem, pracując w gastronomii. Zawsze obserwowałem, co warto robić. Inni też mogą – przedstawiał mi przed laty swoje credo.

6.

Tradycyjnie zadowolona z przemian jest Johanna Voigt, która wraz z Arndem Effenbergerem zakładała tuż po wojnie Nowe Forum. – Nie rozumiem, dlaczego inni nie są – mówi 85-letnia pani doktor,